

Komeda a sprawa polska

Recenzja z tego spektaklu powinna być krótka. Dlaczego? Przede wszystkim z powodu szacunku dla jego twórców, a także dla potencjalnych widzów, bowiem to przedstawienie zasługuje na to, by przed jego obejrzeniem nie zdradzać zbyt wielu szczegółów realizacyjnych. Po prostu trzeba iść i zobaczyć. I to koniecznie do końca. Z góry zaznaczę, że nie każdemu się ten spektakl spodoba. Takie osoby na pewno się znajdują, ponieważ nie jest to przedstawienie z gatunku „lekkich, łatwych i przyjemnych”. Tak już jednak jest, że dobra sztuka musi budzić emocje, poruszać, skłaniać do dyskusji. Jeżeli ktoś oczekuje więc pastelowych wspomnień o najważniejszej postaci z historii polskiego jazzu, będzie co najmniej zaskoczony. Tak jak zdarzyło się to i mnie. Sytuacja w polskim jazzie jest taka, jak w pewnej starej anegdocie. Gdzie się nie spojrzy, prędzej czy później trafi się na Komeda. Niektórzy nabawili się już nawet alergii. Dlatego przyznam się, że szedłem do łódzkiego Teatru Nowego z dość sceptycznym nastawieniem. Czy twórcy spektaklu znaleźli wystarczająco ciekawy pomysł na Komeda? Od razu odpowiadam: owszem, i to taki, jakiego najmniej można by się spodziewać. O tym jednak za chwilę. Jeszcze przed rozpoczęciem witają widzów odtwarzane z off-u fragmenty rozmów z tytułowym bohaterem, powoli wprowadzając w nastrój tego, co nas czeka. Gaśnie światło, rozlegają się werble, pojawia się Marek Hłasko (Tomasz Karolak) i zostajemy przeniesieni do hotelowego pokoju na spotkanie z przeszłością, z historią życia i absurdu śmierci Krzysztofa Komedy. Na towarzyską popijawę Polaków na emigracji. Na spotkanie duchów – wspomnienia snują bowiem niemal sami „nieobecni”. Kameralna sala sprzyja wrażeniu bliskości i współuczestniczenia. Tekst sztuki inspirowany jest wspomnieniami bliskich i przyjaciół muzyka. Duża część narracji oparta jest na zapiskach Zofii Komedowej (fantastyczna – jak zawsze – Iwona Bielska). Wśród „uczestników” tego spotkania pojawiają się Wojciech Frykowski (Michał Bieleński) i Ilona Cooper (Delfina Wilkońska). W tle pobrzmiwają aranżacje komedowskich utworów przygotowane przez Oława Walickiego, wspomagane grającą w spektaklu – dosłownie i w przenośni – perkusją, za którą zasiada Paweł Dobrowolski. Muzyka kapitalnie wpisuje się w treść przedstawienia. Znakomity jest moment, gdy sceniczny Komeda (Mateusz Janicki) gra krótki motyw, fragment utworu, który płynnie przechodzi w odtworzone oryginalne nagranie Dwójki rzymskiej. Mamy więc muzyczno-teatralne jam session – część tekstu i scenicznych zachowań również jest improwizowana – które trwa aż do pojawienia się... Fryderyka Chopina (Adam Kupaj, imponujący umiejętnościami tak- że muzycznymi), wywracającego spektakl do góry nogami. Losy Komedy stają się nagle pretekstem do opowiedzenia o tematach znacznie poważniejszych, a jego historia nabiera nieoczekiwanego, szerszego i uniwersalnego charakteru. Bez obaw, mili państwo. To wszystko udaje się bowiem osiągnąć bez smrodków dydaktycznych, często z humorem, a czasem nostalgicznie, smutno, przejmująco. Kapitalne jest zakończenie, mini etiuda Jak wkurwić Mię Farrow (Monika Buchowiec) – przepraszam za wyrażenie, ale naprawdę „zdenewnować” nie oddaje ducha tego spektaklu. Teatr to praca zespołowa, a sukces jest wynikiem pracy całej rzeszy osób: realizatorów, aktorów, ekipy technicznej. Tak jest i w tym wypadku. Jednak nie sposób szczególnie nie wyróżnić znakomitego tekstu Jarosława Murawskiego i kapitalnej realizacji Leny Frankiewicz. Reżyserka zaznacza w zamieszczonym w programie wprowadzeniu, że twórcy spektaklu chcieli uciec od postaci Komedy widzianego z perspektywy jazzowej widokówki i trzeba powiedzieć, że swój cel osiągnęli. Komeda to atrakcyjny, mądry (a to nie zawsze idzie w parze) i poruszający spektakl, który pozostaje w głowie na długo po opuszczeniu teatralnej sali. Czapki z głów.